

Raven

Trójkąt

Z „Fahrenheit”

ilustracje Małgorzata "Asfodel" Jakubiak

1.

– Witam...

– To znowu wy.

– I co z naszymi propozycjami?

– To bzdury. Wymysł szaleńców. To nieosiągalne.

– W końcu zostaniecie do tego zmuszeni albo wasza potęga legnie w gruzach. Wkrótce świat wkroczy w XXI wiek, nie można zahamować postępu. Ale to wasz wybór. Żebyście tylko nie żalowali.

* * *

Ian Bruce stał twarzą obróconą do okna. Widok z osiemdziesiątego piętra mógł zapierać dech w piersiach, lecz na Ianie nie robił już większego wrażenia. Pięć lat wystarczyło, by się przyzwyczaił.

Powoli odwrócił głowę i spojrzał na mężczyznę siedzącego na krześle przed biurkiem. Dziś widział go pierwszy raz w życiu, choć spodziewał się tej wizyty już od jakiegoś czasu.

Twarz mężczyzny nic nie wyrażała. Ianowi trudno byłoby nawet określić, ile lat ma ten człowiek.

– Więc jak będzie, panie Bruce? – zapytał się nieznajomy głosem, w którym nie było czuć cienia emocji.

– Ciekawe, czy mam jakiś wybór? – Ian raczej pomyślał głośno, niż zadał pytanie, na które oczekiwałby odpowiedzi.

– Oczywiście, że pan ma, panie Bruce – odparł mężczyzna. – Ale my nie będziemy czekać wiecznie. Wydamy pana, jeśli to będzie konieczne – dodał, jakby chciał, by Ian dobrze zastanowił się z podjęciem decyzji.

– A skąd mam wiedzieć, czy wy jesteście tymi, za których się podajecie? – z ironią w głosie zapytał się Ian. – Może równie dobrze pan być agentem FBI lub CIA – powiedział po chwili.

– Owszem, mogę nim być. – Mężczyzna potakująco skinął głową. – Ale wtedy nie powiedziałbym panu tego: we wtorek zobaczy pan



naszą potęgę. – Mężczyzna przerwał, widząc zdziwioną minę Iana: – i lepiej, by pana nie było w tym wieżowcu, panie Bruce.

Ian spojrział na niego podejrzliwie, jednak mężczyzna zdawał się tego nie zauważać.

Powoli wstał i podszedł do drzwi. Trzymając już rękę na klamce, dodał:

– Zależy nam na panu, panie Bruce. Jest pan jednym z najlepszych, a my tylko takich ludzi potrzebujemy. Proszę zapamiętać sobie to, co panu przed chwilą powiedziałem – mężczyzna nacisnął na klamkę i opuścił biuro.

Ian stał jeszcze przez chwilę z rękoma opartymi o biurko. Popatrzył na kalendarz stojący przed nim. Widniała na nim dzisiejsza, poniedziałkowa data: 10 września 2001 roku.

Co takiego może stać się jutro?

* * *

Nie chodzi nam o Amerykanów. Nie opowiadamy się za żadną ze stron ani przeciw niej. Sami sprawiliście, że jest jak jest. Wiecie już, do czego prowadzi desperacja. Teraz pokażemy, co zrobić, by świat wkroczył w prawdziwy XXI wiek. Przyszłość nie może być już taka, jak przeszłość. Przyszłość będzie całkiem inna. Nikt nie wyobrażał sobie, że taka zmiana nastąpi tak szybko.

* * *

Młoda Azjatka obudziła się zrana zimnym potem. Co noc miała podobne sny. Nie widziała żadnych twarzy, tylko słyszała to niby – przemówienie.

Czuła, że nastąpi coś ważnego.

Spojrzała na zegarek stojący na stoliku nocnym, z prawej strony łóżka.: 3:54.

Starła się uspokoić i zasnąć ponownie. Mimo wszystko odpoczynek był jej potrzebny.

Wtedy powrócił ten okropny, przeszywający ból głowy. Próbowała rozmasować skronie. Z bólu zacisnęła powieki. I wtedy się pojawiły. Wizje.

– Nie – wyszeptała przerażona, otwierając oczy.

* * *

Ian Bruce wiedział, że się spóźni. Już od piętnastu minut siedział beczynnym w swoim czerwonym fordzie, a samochód nie ruszył się nawet o metr.

Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się nie usłyszeć budzika. Czyżby podświadomie zastosował się do rad tego mężczyzny?

Zrobiło mu się gorąco, więc poluzował nieco granatowy krawat. By nie umrzeć z nudów, podkręcił radio. Właśnie puścili *Elevation U2*.

Jego samochód znajdował się na wprost World Trade Center. Problemem było to, że przed jego fordem stało jeszcze kilkadziesiąt innych aut. Przez co najmniej paręnaście minut, będzie musiał czekać w tym korku.

Z rozmyślań wyrwał go piskliwy dzwonek komórki. Nacisnął na "OK".

– Halo?

– Proszę wyjść z samochodu, panie Bruce – usłyszał głos mężczyzny, który odwiedził go wczoraj w biurze.
– I popatrzeć ostatni raz na symbol Nowego Jorku.

– Jak to?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Wahał się przez chwilę, po czym zaintrygowany nacisnął na klamkę i otworzył drzwi swojego auta. Powoli wyszedł i stanął na środku jezdni.

Na wprost siebie miał dwie wieże World Trade Center. Nic szczególnego się nie działo.

Może tu nie chodzi o te wieże, tylko o mnie?

Rozejrzał się. Wtedy to dostrzegł. Niewielki punkt ponad dachami. Samolot zbliżał się do północnego budynku. Po sekundzie wbił się w jego ścianę, widowiskowo wybuchając i rozdzierając powietrze potężnym hukiem.

Bruce przełknął ślinę. Inni kierowcy zaczęli wychodzić z samochodów i z przerażeniem obserwować to, co się przed chwilą zdarzyło. Niektórzy z nich patrzyli na Bruce'a jak na proroka.

Ian poderwał się z osłupienia na dźwięk swojej komórki.

Doskoczył do auta i przyłożył telefon do ucha, nadal patrząc na płonącą wieżę.

– Halo?

– Podobało się panu, panie Bruce? – usłyszał znajomy głos.

– Czy zrobiliście to tylko po to, by mnie przekonać? – Ian starał się, by jego słowa nie wyrażały żadnych emocji.

– Nie – usłyszał nieszczerze rozbawienie. – Nie zrobiliśmy tego dla pana, lecz dla świata.

– Co chcecie przez to osiągnąć? – zapytał się.

– I tak na razie pan tego nie zrozumie, panie Bruce – mężczyzna przerwał na chwilę. – Teraz nam pan wierzy?

– Tak – wolno powiedział Ian. – Wierzę.

– A co z naszą propozycją?

– Wiem, że jeśli się nie zgodzę, to zginę. Za wiele mi wyjawiliście. Lecz jeśli tak ma wyglądać wasz świat...

– Pan dobrze wie, że to był środek ostateczny – zimno odparł mężczyzna.

– Nie wiem, czy nie będę tego żałował, jednak zgadzam się – powiedział Ian z wahaniem.

– Świetnie – odrzekł nieznajomy, po czym się rozłączył.

Ian wyłączył komórkę i spojrzał na nią. Upomina się o niego organizacja zrzeszająca najinteligentniejszych programistów świata. Najlepszych hackerów.

A może jednak najgenialniejszych terrorystów?

* * *

Rankiem, 11 września 2001 roku, kilkadziesiąt metrów od budynków World Trade Center stała dziewczyna. Stała w bezruchu ze wzrokiem utkwionym w dwie ogromne wieże – symbol Nowego Jorku. Niektórzy potrącali ją, nie patrząc nawet, na kogo wpadają. Inni również spoglądali w tym samym kierunku, lecz nie dostrzegając niczego niezwykłego, ze zdziwieniem opuszczali głowy.

Dziewczyna spojrzała na zegarek. Była ósma czterdzieści trzy.

Po chwili usłyszała nad sobą niewyraźny huk lecącego samolotu, więc zwróciła wzrok w kierunku, z którego nadchodził. Wiedziała, na co czeka.

Samolot leciał torem ustalonym już wiele tygodni wcześniej.

Po chwili samolot uderzył w budynek. Prawie jednocześnie wszyscy zaczęli się zatrzymywać. Ludzie wychodzili z samochodów, by po chwili z przerażeniem obserwować kłęb dymu, który powiększał się z każdą chwilą. Przechodnie nie mogli uwierzyć w to, co widzą.

– O, Boże! – usłyszała czyjś krzyk obok siebie.

Odwróciła się, nie chcąc już patrzeć na płonący budynek. W końcu oglądała już to wiele razy.

Powoli zaczęła odchodzić, choć nie było to łatwe.

– Cholera, widziałeś jak uderzył? – Jakiś chłopak zwrócił się do innego.

– Niiieeee – powiedział tamten, nie odwracając wzroku od płonącej wieży.

– Zaraz uderzy drugi – powiedziała na tyle głośno, by usłyszeli.

– Skąd wiesz? – Obydwaj popatrzyli w jej stronę, lecz ona już zdążyła zniknąć w tłumie.

Dziewczyna skręciła w boczną ulicę i oparła się o ścianę budynku.

Ciekawe, co będzie ze mną? Jaką ja mam rolę w tym wszystkim?

Spojrzała w górę.

Właśnie nadlatywał drugi samolot.

2.

– Udało się. Nikt nas nie podejrzewa. Nasi sądzą, że to oni zrobili, a oni, że sami na to wpadli.

– Świetnie. To powinno im otworzyć oczy.

- Powinno...
- Jakoś nie widzę w tobie entuzjazmu.
- Czuję, że to zostanie odczytane nie tak jakbyśmy pragnęli.
- Pragnęli? Sam już nie wiem jakbym chciał, by to zostało odebrane...

* * *

Ian Bruce znajdował się kilkadziesiąt metrów pod ziemią, w ogromnym kilkunastopiętrowym bunkrze.



Przypomniało mu się jego biuro na osiemdziesiątym piętrze w, teraz już nieistniejącym, World Trade Center. Tam też było tak nowoczesnie zimno i bezosobowo. Pod ziemią niespodziewanie odnalazł wszystko, czego tak nie lubił w swoim starym wieżowcu. Pustkę rozświetlonych neonówkami wnętrz i prawie szpitalną czystość, która zawsze go irytowała. Jaskrawą biel ścian, połyskliwość mijanych drzwi i wypolerowanych podłóg. Nie miał dokąd uciec spojrzeniem.

Czasami mijał ich ktoś ubrany w biały fartuch i uprzejmie uśmiechał się do mężczyzny w ciemnym garniturze, który go oprowadzał po

jego nowym "domu".

Bruce dziwnie czuł się w towarzystwie swojego przewodnika. Człowiek ten wyglądał na mniej niż czterdzieści lat, Ian wiedział o nim tylko tyle, że nazywa się Rifleman i jego zadaniem jest wprowadzenie "nowego" – miał odpowiedzieć na każde z jego pytań i przybliżyć mu, czym tak naprawdę zajmuje się organizacja w której szeregi wstąpił, gdyż nie okazało się to tak proste jak Ian myślał jeszcze kilka dni temu. Trójkąt okazał się czymś poważniejszym. Ale czym? Tego dokładnie jeszcze mu nie wytłumaczono, a on, choć miał ochotę obrzucić nowych mocodawców pytaniami, wołał milczeć. Coś kazało mu czekać i czuł, że oni sami mu to wytłumaczą we właściwym czasie.

Bruce i Rifleman znajdowali się na poziomie medycznym, gdzie pracowali najlepsi genetycy, jakich tylko zdołano zwerbować. Ian nie do końca uzmysławiał sobie ich rolę w planach, do których zrealizowania dążył Trójkąt.

– Dobrze – zaczął. – Wiem już, gdzie jesteśmy. Ale po co wam to wszystko? Nie uważam, byście chcieli produkować broń biologiczną...

– Broń biologiczną? – powtórzył Rifleman, a Bruce odwrócił wzrok na mężczyznę. – Nie, nie bawimy się w takie rzeczy.

– Więc po co wam te laboratoria? Macie chyba ze trzy poziomy, na których przeprowadzacie doświadczenia...

– Tu wszystko jest ze sobą powiązane. Po coś są programiści, po coś są genetycy i po coś są... pieniądze – odpowiedział Rifleman, krzywo się uśmiechając.

W milczeniu dalej szli wolnym krokiem przez jasny korytarz, który wydawał się nie mieć końca.

– Powinienem wyjaśnić panu parę rzeczy – zaczął niespodziewanie Rifleman. – Na początku sądził pan, że Trójkąt to organizacja zrzeszająca samych hackerów, jednak teraz już pan wie, że to tylko jeden z wierzchołków Trójkąta. Ten najbardziej znany... ten, który obserwuje... Na czele naszej organizacji stoi człowiek, który posiada ogromne pieniądze, ale jeszcze większe idee. Zauważył on to, o czym inni starali się zapomnieć: że współczesny świat już jest martwy. Pieniądze nie mogą stać na drodze do lepszego jutra, jednak tak się stało. My już od dwudziestu lat staramy się to zmienić – na próżno. Niestety, nikt nie ma anielskiej cierpliwości... – Rifleman przerwał na chwilę, zatrzymując się. – Jak pan sądzi, ilu ludzi zginęło w zamachu na WTC? – zapytał się, spoglądając na Iana, który stanął obok mężczyzny.

– Około trzech tysięcy... – odrzekł niepewnie Ian, zaskoczony tak nagłą zmianą tematu.

Rifleman ponownie ruszył wolnym krokiem.

– Tak, około. Wszyscy nazywają to aktem terroryzmu... A co powiedzą na to, że codziennie w Afryce umiera więcej dzieci niż zginęło ludzi w WTC? Mówię tu tylko o dzieciach. A przez czyją politykę? Są pewne kraje, które wolą trwonić miliardy dolarów na siebie niż ofiarować je na potrzebny rozwój w państwach nierozwiniętych. My nie chcemy karać tych państw. Chcemy im jedynie pokazać cierpienie... Aby sami zobaczyli, jak to jest, gdy umierają niewinni.

– Nie musicie nikogo zabijać. Terror to żaden argument.

– Myli się pan. Terror to jedyny argument. Słowa... słowa nic dla nich nie znaczą.

– Mówił pan, że od dwudziestu lat ich przekonujecie. Ale... jak?

– Nie będę z panem rozmawiał o różnych aspektach politycznych i gospodarczych. Powiem to najogólniej i najprościej jak się da. Ludzie umierają z pragnienia, podczas, gdy ich życie kosztuje dolara. Można by to zmienić, ale to wymaga dużych kosztów. Kosztów, na które stać jedynie bogate kraje. Nie chodzi tu o zwykły altruizm. Taka łaska tu nie pomoże, uspi jedynie sumienie. Tu trzeba czegoś, co powoli, ale skutecznie podniesie gospodarkę tych krajów. Co nie potrwa przez lata, lecz przez pokolenia ludzkie. Dawniej jeszcze staraliśmy się wprowadzić tę myśl w czyn, ale sami nie dalibyśmy rady. W tym muszą brać udział państwa, a nie pojedyncze jednostki. To bogate państwa muszą dać szansę biednym – wystarczy, że otworzą swój rynek na produkty z krajów trzeciego świata. Wtedy byłby możliwy jakiś rozwój, krok w przód. To, co jest dzisiaj, sprawia, że przepaść wciąż się pogłębia. Dwadzieścia lat to dużo czasu, by się namyślić, i widać dokładnie, co z tym przemysłem wyszło – nic. Ludzkość w końcu powinna wkroczyć w nową erę. Erę lepszych technologii. Erę bez podziałów, gdzie każdy będzie miał równe szanse na przeżycie.

– Jak chcecie to osiągnąć? – zapytał się Ian, choć obawiał się, że odpowiedź, którą otrzyma, nie będzie tą, którą chciałby usłyszeć.

Rifleman jakby czekał na to pytanie, zaczął znowu mówić, tym razem nieco bardziej ściszonego głosem:

– Tylko globalna wojna może tu coś zdziałać. Dobrze pan wie, że broń typu ABC jest w posiadaniu większości "liczących się" organizacji terrorystycznych, a skoro ją mają, to mogą jej użyć. My postanowiliśmy przyspieszyć ten "proces". Ten świat jest już reliktem, a na wyciągnięcie ręki czeka nowy – ten, który my przygotowujemy. Ludzką pazerność można zamknąć tam, gdzie nie mogłaby zagrażać. Wiemy, że zanim jeszcze możemy, powinniśmy coś zrobić. Teraz już wojny nie da się uniknąć, my ją jedynie przyspieszymy. W końcu, kiedy większość ludzkości będzie żyć w skrajnym ubóstwie, a reszta pławić się w luksusie znajdą się ci, którzy będą chcieli jakiejś zmiany. I to za wszelką cenę.

– Ciekawi mnie, jak zamierzacie stworzyć ten "nowy świat" – w głosie Iana czuć było nutkę ironii. – Kto wam zagwarantuje, że na jego czele nie stanie jakiś fanatyk i historia "z pazernością" się nie powtórzy?

– Wykluczmy możliwość, by to człowiek rządził tym światem. – pewnie odpowiedział Rifleman.

– Nie rozumiem.

– To proste. Wiedzą o tym wszyscy, choć nie do końca zdają sobie z tego sprawę. Ludzki umysł powinien mieć ograniczony wpływ na kształtowaną przez siebie rzeczywistość. Człowiek jest zbyt zachłanny i zbyt pewny siebie, by w końcu nie doszło do katastrofy. Właśnie dlatego powstanie System. Pierwszy wirtualny świat przystosowany do egzystencji ludzi. Nikt nie będzie mógł go zniszczyć, gdyż każdy będzie odcięty od swego ciała. Jedynie umysł będzie mógł poruszać się w pajęczynie Systemu. Stworzymy całą gamę różnych urządzeń tak, by po naszej śmierci nikt nie mógł przejąć władzy nad Systemem. Wszyscy będą żyli w Systemie, nie wiedząc o tym.

– A jeżeli ktoś się zorientuje i spróbuje się wydostać?

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ochrona przed wyłączeniem się z Systemu będzie nie do obejścia. Ci, co będą wewnątrz, nie będą mieli możliwości jej złamania. Tylko ktoś, kto by przebywał na zewnątrz, mógłby ich odłączyć. Mógłby, lecz i tu znajdą się odpowiednie zabezpieczenia. Pracujemy już nad odpowiednio zaprogramowanymi robotami, które by były "opiekunami" Systemu. Żaden człowiek z zewnątrz prawdopodobnie nie przeżyje tej III wojny światowej, lecz my bierzemy pod uwagę nawet przypadek. Poza tym, chcemy zapewnić pewną przyszłość Systemowi. Nie można dopuścić, by cokolwiek stało się ludziom żyjącym wewnątrz niego. To byłby koniec ludzkości.

– Chcecie ratować ludzi z krajów trzeciego świata, a jednocześnie ich zabijecie. Nie rozumiem tego...

– Bo wielu rzeczy jeszcze nie wiesz – odpowiedział Rifleman. – Miliony ludzi stamtąd przeżyją tę katastrofę... Zwłaszcza dzięki nam. Poza tym, czy ci, co tam żyją, teraz mają prawdziwe życie? Czy ofiarowaliby lepsze swoim potomkom? Nie sądzę... My jednak możemy to sprawić. Około ćwierć miliarda ludzi z obecnego świata przetrwa. Ci dostaną nowe życie. Wkrótce dołączy do nich reszta, teraz jeszcze nie narodzona. Gdy tylko będziemy mieć pewność, że System jest całkowicie bezpieczny, ten świat stanie się jedynie wspomnieniem. Niezbyt miłym na dodatek.

– Z tym nie do końca bym się zgodził – powiedział Bruce.

Rifleman w odpowiedzi uśmiechnął się nieznacznie.

Doszli właśnie do końca korytarza. Znajdowały się tu drzwi do kilku dość obszernych wind. Rifleman nacisnął na guzik i czekając, aż winda przyjedzie, wpatrywał się beznamiętnym wzrokiem przed siebie.

Ian miał teraz chwilę, by przetrwać i poukładać sobie nowo uzyskane wiadomości. Ciągle chodziło mu po głowie coś, co nie dawało mu spokoju. Jakaś wątpliwość, której nie mógł sprecyzować.



I nagle, zanim jeszcze drzwi windy się rozsunęły, uzmysłowił sobie, co nie pasuje do wizji "idealnego świata".

– Mogę się o coś spytać? – Ian uśmiechnął się lekko. – Co z ludźmi, których umysły będą silne i będą potrafiły oprzeć się działaniu sztucznych impulsów? Oni zobaczą, jak ich świat wygląda naprawdę, i pewnie będą chcieli podzielić się tym odkryciem z innymi. Nie będziecie mieli pewności, że wśród nowej populacji nie urodzi się ktoś taki.

– Niebezpieczne jednostki będą usuwane z Systemu. Wszyscy będą zintegrowani z Systemem, więc będzie on kontrolował każdego – wyjaśnił spokojnym głosem Rifleman. – Tak więc, prędzej czy później wszystko się wyda.

– I tu jest ta rysa na szkle. Nie da się stworzyć utopii dla wszystkich ludzi, prawda? – zapytał się Ian z cieniem satysfakcji na twarzy.

– Owszem – Rifleman spojrzał na niego. – Jednak da się stworzyć lepszy świat. Lepiej, by cierpiało kilkaset osób niż parę miliardów.

W tym momencie drzwi windy się rozsunęły i obaj mężczyźni weszli do środka.

* * *

Już po tygodniu Ian czuł się prawie całkowicie zdomowiony. Nie przeszkadzało mu, że żyje kilkadziesiąt metrów pod ziemią. Nawet tego nie odczuwał. Dostał porządną kwaterę w części mieszkalnej nowoczesnych katakumb, z elegancką łazienką i wygodnym łóżkiem w sypialni, prosto urządzonym, niewielkim salonem oraz kuchnią wyposażoną w najnowocześniejszy sprzęt. Z tego ostatniego pomieszczenia korzystał jednak niezwykle rzadko, wolał zaglądać do knajpek i kawiarenek w ogromnej Hali Centralnej, gdzie również kupował wszystkie ubrania i inne potrzebne mu rzeczy. Problem pieniędzy tu nie istniał. Każdy otrzymywał kartę kredytową honorowaną w obrębie podziemi. Oczywiście nikt nie dysponował nieograniczonym limitem, ale można było sobie pozwolić na bardzo dużo, jeśli już nie na wszystko.

W Hali Centralnej była również część wypoczynkowa, gdzie umieszczono nawet coś w rodzaju parku z prawdziwymi drzewami. Ian czasami tam bywał, choć raczej rzadko, o wiele bardziej lubił część rozrywkową z barami i nocnymi klubami. Nie upijał się ani nie szukał towarzystwa panienek, lubił po prostu przyglądać się innym ludziom.

W gronie hackerów, z którymi przyszło mu pracować, nie znalazł nikogo, z kim zdołałby się zaprzyjaźnić. Jednak na przyjaźni też mu szczególnie nie zależało. To komputerom poświęcał najwięcej czasu. Zresztą, pod tym względem to niewiele zmieniło się w jego życiu. Teraz miał tylko inny cel.

3.

– Świat jest głuchy na ich głosy.

– Wiem. Sam byłem w Johannesburgu.

– I co teraz?

– Teraz my będziemy głusi na błagania świata.

– Wiesz, czym to grozi? To już nie będzie ostrzeżenie jak przed rokiem.

– Wiem. Nie można wiecznie ostrzegać. Skoro nie ma reform – czas na rewolucję...

* * *

W jasnym pomieszczeniu stał jedynie długi stół oraz kilkanaście czarnych, obitych sztuczną skórą foteli.

U szczytu stołu dosunięty był fotel nieco wyższy i obszerniejszy od pozostałych. Siedział w nim krzepki, choć niemłody już mężczyzna w ciemnym garniturze, o siwych, krótko przystrzyżonych włosach. Miejsce z jego prawej strony zajmowała młoda kobieta.

– Twój ludzie będą musieli się spieszyć – zwróciła się do skośnookiego mężczyzny. – System jeszcze nie działa tak jak powinien, a my już za jakieś pół roku planujemy zacząć. Czy zdążycie wprowadzić usprawnienia w przeciągu miesiąca?

– Już jutro powinna być gotowa całkiem nowa wersja. Tym razem naprawiliśmy wszystkie błędy. Nic nie ma prawa się nie udać – odpowiedział skośnooki.

– Świetnie. Więc wszystko idzie zgodnie z planem – stwierdziła kobieta.

– A co z tym dziennikarzem...? – wtrącił starszy mężczyzna, siedzący u szczytu stołu, jednak nie dokończył i zawiesił na moment głos.

– Frankiem Jonsonem? – dokończyła za niego ruda kobieta.

– Dziękuję ci, Holy – skinął głową. – Mam nadzieję, że się nim zajęliście...

– Oczywiście, panie Hope. Frank Jonson już nie żyje, a jego mieszkanie jest całkowicie czyste. Musimy jedynie zająć się jego biurowym komputerem. Ale to nie sprawi większych trudności – odpowiedział ciemnowłosy mężczyzna, który siedział przy drugim końcu stołu.

– Kiedy macie zamiar to zrobić? – zapytał się Hope.

– Jutro wyślemy tam naszego człowieka, który tym się zajmie.

– Jest odpowiedni? – upewniła się Holy.

– Tak. Jest szybki i są tu od niego zdolniejsi, więc w razie komplikacji może zginąć – odparł ciemnowłosy mężczyzna. – Nazywa się Ian Bruce – dodał.

– Nie zwróciłam na niego uwagi, ale skoro twierdzisz, że się nada, to dobrze. Więc ten problem mamy z głowy – podsumowała kobieta.

* * *

To dzięki niemu. Gdyby nie on, dziś nie byłoby Systemu. Całe nasze początkowe założenia okazały się błędne. Dopiero teraz możemy być całkowicie pewni. Mamy już upragniony System. Dziś możemy przyznać się do tego, że się pomyliliśmy i przez to zaniechaliśmy budowy nowego świata. Lecz teraz wiemy, na czym polegał nasz błąd. Możemy zakończyć to, co zaczęliśmy przed kilkoma latami. Daliśmy światu ten czas, choć nie zamierzenie, jednak teraz mamy absolutną pewność, że postępujemy słusznie. Nic się nie zmieniło, a przynajmniej nie tak jak tego pragnęliśmy. Dlatego System pozostaje jedynym rozwiązaniem.

* * *

Młoda Azjatka pustym wzrokiem wpatrywała się w ciemny sufit. W dzień ciągle o tym myślała, a w nocy to widziała. Nie dane jej było ani na chwilę zapomnieć, ani na moment odetchnąć.

Muszę coś zrobić... Bez powodu o tym nie wiem. Nie można do tego dopuścić...

Przewróciła się na bok i zamknęła oczy. Ponownie tej nocy próbowała zasnąć, choć wiedziała, że i tak nie przyniesie jej to nic dobrego.

* * *

Ian Bruce siedział w żółtej taksówce, która powoli sunęła ulicami Nowego Jorku. Mężczyzna pustym wzrokiem obserwował ulice, które wypełnione były niczego nieświadomymi ludźmi. Wciąż w głowie powtarzał sobie wszystko, co ma zrobić, gdy już dotrze do budynku redakcji "New York Post". Zadanie, które ma wykonać, nie było trudne. Miał jedynie w subtelny sposób zawirusować system redakcji. Tak, aby po kilkunastu minutach po jego wyjściu wszystkie informacje zapisane na połączonych między sobą komputerach zostały zniszczone.

Rozmyślania Iana przerwał taksówkarz, hamując ostro przy krawężniku pod wskazanym adresem. Bruce bez słowa wręczył mu banknot i nie żądając reszty, wysiadł z samochodu.

Przez chwilę stał bez ruchu, przyglądając się wielkiej, żółtej tablicy z czarnym napisem "New York Post" nad obrotowymi drzwiami wejściowymi. Wzrokiem dokładnie zmierzył cały budynek, po czym nieśpiesznym krokiem ruszył w stronę wejścia.

Na rozległym parterze kręciło się niewielu ludzi. Ian znał plan tego budynku na pamięć, lecz pomimo to podszedł do młodej dziewczyny, która stała za kontuarem recepcji.

– Przepraszam, na którym piętrze jest sektor publicystyczny?

– A pan...? – zaczęła dziewczyna.

– Od dzisiaj zaczynam tam pracę – Ian uśmiechnął się lekko, wpadając jej w słowa.

– Ach... Więc... – dziewczyna wystukała coś szybko na klawiaturze komputera, który stał obok niej. – Piętro trzydzieste piąte, publicystyka i prasa polityczna. Proszę skorzystać z windy służbowej – wskazała na lewo. – Windy ogólnodostępne dojeżdżają tylko do 28 piętra.

– Dziękuję – odparł Bruce i ruszył tam, gdzie wskazała mu dziewczyna.

Znalazł się w korytarzu przedzielonym przeszklonymi drzwiami. Żeby przez nie przejść, trzeba było minąć ochroniarza w pseudo-policyjnym mundurze i metalową bramkę – wykrywacz rzeczy nielegalnych i niedozwolonych.

Ochroniarz obrzucił Iana badawczym wzrokiem, a Bruce wyciągnął z kieszeni podrobiony identyfikator.

Tamten podszedł do pulpitu wmontowanego w ścianę i, prześwieciłszy identyfikator małym skanerem, oddał Ianowi.

– Pierwszy dzień w pracy, panie Smith? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Bruce.

Ochroniarz dopilnował, by Ian przeszedł przez bramkę i otworzył przed nim szklane drzwi, wpisując w swój podręczny komputer odpowiedni kod.

Ian wsiadł do odpowiedniej windy i już po chwili sunął w górę – na trzydzieste piąte piętro.

* * *

Tak jak przewidzieli, w tym dziale przed południem było niewiele osób, a już prawie nikt nie zwracał uwagi na innych. Ian początkowo rozglądał się bacznie, ale już po chwili gorączkowo i jakby w transie wypisywał długie linijki programu, który miał zniszczyć wszystkie dane tego systemu.

* * *

Młoda Azjatka stanęła nieopodal obrotowych drzwi prowadzących do wieżowca redakcji "New York Post". Włożyła do uszu niewielkie słuchawki i włączyła discmana. W środku miała płytę z melodiami filmowymi. Lubiła oglądać filmy, zwłaszcza akcji, jednak nigdy nie sądziła, że kiedyś znajdzie się w centrum podobnych wydarzeń. Szkoda, że wciąż tylko jako bierny obserwator.

Nastawiła na drugą z kolei melodię – z filmu *Mission Impossible*, poczym spojrzała na zegarek.

No to sobie poczekamy na pana Iana. To nie powinno zająć mu dużo czasu.

* * *

Już po wszystkim.

Ian westchnął z ulgą. Wszystko poszło zgodnie z wcześniej ustalonym planem.

* * *

Bruce wyszedł z budynku i stanął na moment, próbując zebrać myśli. Czuł w głowie zupełną pustkę i przez moment ogarnęła go panika, lecz szybko się opanował.

Teraz powinien znaleźć jakąś taksówkę i ulotnić się stąd.

– Ian Bruce? – Za plecami mężczyzny odezwał się jakiś głos.

Mężczyzna obrócił się i jego spojrzenie natrafiło na młodą Azjatkę.

– Musiała pa... Musiałaś mnie z kimś pomylić – odrzekł, nadając swojemu głosowi pewny ton.

Azjatka zmarszczyła lekko brwi i wyjęła z uszu niewielkie słuchawki, chowając je do kieszeni spodni. Ian przelotnie dosłyszał zagłuszaną przez uliczny zgiełk piosenkę z filmu *Streets of Philadelphia*.

– O pomyłce nie może być mowy – bez wahania odparła dziewczyna.

Podeszła parę kroków do przodu i stanęła tuż przy krawężniku, poczym kiwnęła ręką na nadjeżdżającą taksówkę. Pojazd momentalnie skręcił i zatrzymał się koło Azjatki. Dziewczyna obróciła się w stronę Iana.

– Jedzie pan? – zapytała się, patrząc na niego.

– Niby dlaczego mam jechać z tobą?

– Jeszcze się pan nie domyśla?

– Domyślam się, ale nie wiem, czy chodzi nam o to samo.

Dziewczyna bez słowa wyprostowała kciuki i palce wskazujące w obu rękach, złożyła dłonie razem, a znak, który powstał między jej palcami, przypominał trójkąt.

– Nie jesteś za młoda? – zapytał się z lekkim zdziwieniem Bruce, a ona rozłożyła dłonie i otworzyła drzwi.

– Jedzie pan? – udała, że nie padło ostatnie pytanie.

– Jadę – odrzekł Ian, podchodząc do taksówki.

Dziewczyna wsiadła do żółtego samochodu, przesunęła się, aby zrobić miejsce dla mężczyzny.

Gdy Bruce zajął już swoją połowę tylniego siedzenia i zamknął z trzaskiem drzwi, pojazd włączył się do nowojorskiego ruchu.

* * *

Mężczyzna w ciemnej koszuli siedział w furgonetce wypełnionej sprzętem komputerowym i wpatrywał się w migający monitor.



– Co, u licha? Patrz, Lynx! – zwrócił się do młodego Murzyna, który wystukiwał coś na klawiaturze, przed drugim monitorem.

Murzyn spojrzał na ekran swojego kompana.

– Wiesz, kim jest ta mała? – zapytał się ten w koszuli.

– Nie mam pojęcia. Jeśli nas namierzyli to... Ale ona jest za młoda na FBI...

– Zobaczymy, gdzie pojedą.

– Ja bym wolał stąd nawiać.

– Tu nam nic nie grozi. Nawet jeśli go złapali, to on i tak nie wie, gdzie jesteśmy, zapomniałeś już? A jeśli go nie złapali, to chciałbym wiedzieć, kim jest ta mała?

– Może to hackerka? – z wahaniem odparł Murzyn.

– Taaak. To możliwe. – Mężczyzna w ciemnej koszuli zamyślił się na moment.

– Może chce się do nas przyłączyć... A może jesteśmy paranoikami? Pewnie chciała go poderwać – Lynx zaśmiał się pod nosem.

– Nie. Widziałem, jak czekała przed budynkiem. Ona wie.

– Trochę to dziwne, nie uważasz? – zaniepokojonym głosem odparł Lynx. – Niby skąd wie?

– Właśnie dlatego powinniśmy to sprawdzić. Nawet jeśli go złapali, to nie sądzę, by zdążył wiele powiedzieć.

Mężczyzna w koszuli otworzył niewielką, metalową skrzynkę kluczykiem, który miał w kieszeni, i spojrzał na antidotum znajdujące się w małych ampułkach, tuż obok pustych strzykawek.

– Teraz widzę, że ten pomysł z trucizną nie był taki zły – powiedział do siebie.

* * *

Ian stał w pustym, podziemnym garażu w opuszczonej dzielnicy pełnej starych, wałających się już budynków.

– Po co mnie tu przyprowadziłaś? – zwrócił się do Azjatki, która odwróciła na dźwięk jego słów.

– Dowiesz się – odpowiedziała. – A teraz chodź.

Dziewczyna podeszła do wnęki znajdującej się za jednym z filarów podtrzymujących strop, wyciągnęła klucz i otworzyła nim rdzewiejące, metalowe drzwi.

Oboje weszli do środka, potem Azjatka ponownie przekreśliła klucz i schowała go do kieszeni spodni.

W pomieszczeniu, gdzie się znaleźli, stał tylko zniszczony stół i trzy stołki do kompletu. Nad stołem wisiał duży plakat przedstawiający dwie płonące wieże WTC.

– Co to jest? – Ian spojrzał na Azjatkę ze zdziwieniem.

– Usiądź – odparła spokojnym głosem.

Bruce, lekko zaniepokojony, usiadł na jednym z krzesel.

– Nie jestem z Trójkąta – Azjatka przerwała na moment. – Jednak wiem o nim o wiele więcej niż ty i niż oni sami o sobie wiedzą... Ty nie możesz tam wrócić... – Spojrzała na niego smutnym i zarazem przerażonym wzrokiem. – Nawet nie wiesz, czym to się skończy...

– Co ty mówisz? – Ian zaczął gorączkowo myśleć, lecz wciąż nie przychodziło mu do głowy, czego może chcieć ta dziewczyna.

– Gdybyś wiedział, czego dokonasz – pokręciła przecząco głową – Oni za pół roku chcą rozpocząć tę swoją akcję. Chcą rozpocząć zniszczenie tego świata, bo myślą, że System jest już gotowy. Jednak już wkrótce odłożą to na później, bo nic nie jest jeszcze zrobione.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Rozumiesz o czym mówię. Nie traktuj mnie jak wariatki. Myślisz, że ja to wszystko chcę wiedzieć? – westchnęła cicho i zaczęła mówić dalej. – Nie możesz teraz do nich wrócić. Ty musisz zostać w Nowym Jorku. Cały ich pomysł opiera się na złych podstawach, a najgorsze jest to, że ty te podstawy wyprostujesz. Wy zniszczycie świat, tuż przed tym, jak wynajdziecie pomysł, by go uratować. Kiedy już zaczniecie ostatnią wojnę na tej Ziemi, będzie za późno. Sam siebie znienawidzisz, gdy zobaczysz, czego dokonaliście dla Systemu.

Ian opuścił wzrok.

Wariatka? Tak to musi być wariatka... Tylko skąd ona wie o Trójkącie. Hackerka? Tak, to by mogło się zgadzać...

– Zostaniesz tu – powiedziała Azjatka pewnym tonem.

– Co? Nie – odparł Bruce, wstając. – Nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz i nie chcę wiedzieć. Oddaj klucz. – Mężczyzna wyciągnął przed siebie prawą dłoń.

– Jeśli nie chcesz wiedzieć, to tu zostaniesz – powtórzyła dziewczyna, robiąc krok w tył.

Ian wiedział, że musi działać z zaskoczenia. Bez słowa błyskawicznie doskoczył do niej, próbując chwycić ją za prawą rękę i wykręcić jej ją. Jednak Azjatka obróciła się i momentalnie kopnęła mężczyznę w krocze. Ian zachwiał się i skulił. Dziewczyna pozbawiła go przytomności jednym ciosem.

Oddechnęła głęboko, próbując uspokoić się, po czym pochyliła się nad Ianem i szybko go obszukała. Wzięła komórkę i drżącymi rękoma otworzyła drzwi, co chwilę zerkając za siebie i sprawdzając, czy mężczyzna aby się nie ocknął.

Kiedy przekreśliła za sobą klucz i oddaliła się od pomieszczenia, gdzie leżał Bruce, po jej twarzy popłynęły łzy.

– Musiałam to zrobić... Przecież nie miałam wyjścia... Tak jest lepiej... Wszystko teraz będzie dobrze... – cicho powtarzała te zdania, które miały ją uspokoić.

Tuż przed wyjściem z garażu rzuciła na ziemię komórkę i mocnym kopnięciem wgniotła ją w podłogę.

* * *

Murzyn ze zdziwieniem patrzył na ekran komputera.

– To jakaś dzielnica do rozbiórki.

– Dziwne... – odparł drugi, wpatrując się w monitor.

Lynx spojrział z ukosa na mężczyznę.

– Ryzykujemy? – zapytał się.

– Chyba musimy. Nie możemy tego tak zostawić. To może grozić ogromnymi konsekwencjami – przerwał na moment. – Ja dam znać, że mamy "mały" problem, a ty powiedz Max, żeby ruszała.

– Nie ma sprawy – odparł Lynx.

– Mam nadzieję, że to nie jest pułapka – cicho dodał jego kompan.

* * *

Światło wciąż było czerwone, więc wszyscy niecierpliwie czekali na zmianę.

Azjatka opuściła głowę, gdyż znów do oczu zaczęły napływać jej łzy. Próbowała odegnąć wyrzuty sumienia, choć na razie nie było to łatwe.

Zerknęła na zegarek. Była 12:12.

Z czasem to minie. Zapomnę o tym...

Mimo wszystko żałowała człowieka, który miał dokonać tego wszystkiego.

Usłyszała monotonną muzyczkę, która zawsze towarzyszyła zielonemu światłu, więc nie podnosząc głowy, pewnym krokiem wkroczyła na jezdnię.

– Niech pani uważa! – usłyszała za sobą głos i spojrzała w bok.

Ciemnozielone porsche zaczęło hamować, choć wciąż jechało zbyt szybko.

Nim dziewczyna zdążyła pomyśleć, uderzyło w nią i wyrzuciło na kilka metrów w górę. Jej bezwładne ciało głucho uderzyło o asfalt.

– Niech ktoś zatelefonuje po pogotowie – wykrzyknęła jakaś starsza pani.

Kierowca z rozciętym łukiem brwiowym wyszedł z samochodu i zbliżył się do leżącej dziewczyny. Pochylały się już nad nią dwie osoby.

– Nie mogłem zahamować... Dlaczego ona to zrobiła? Przecież miałem zielone światło i nie mogłem... – przerwał, nie umiejąc znaleźć słów.

Jeden z mężczyzn pochylonych nad Azjatką podniósł współczujący wzrok na kierowcę porsche.

– Kolejna samobójczyni. Tym razem się jej udało...

* * *

Lynx pochylił się nad rozwalonym telefonem i podniósł go.

– Tak, to tutaj – stwierdził.

Drugi mężczyzna, teraz miał na sobie ciemny płaszcz, podszedł kilka kroków w przód.

– Słyszysz? – zwrócił się do Murzyna. – Tam ktoś się dobija.

Ostrożnie rozejrzeli się dookoła. Ciemnoskóry mężczyzna wyjął broń i odbezpieczywszy ją, oddalił się od swego kompana, by sprawdzić, czy nikt nie kryje się w pobliżu.

– Jeszcze trochę cierpliwości, panie Bruce – powiedział do siebie ten, który został przy wejściu.

Lynx wrócił po kilku minutach z wiadomością, iż nie zauważył nikogo ani niczego podejrzanego.

Obaj pośpiesznie udali się tam, skąd dochodził stłumiony łomot. Stanęli przed zżartymi przez rdzę drzwiami.

– Kto tam jest? – krzyknął głośno Murzyn, wciąż trzymając w ręce odbezpieczoną broń.

Łomot ustał na moment, z pomieszczenia za drzwiami odezwał się stłumiony głos.

– Wypuście mnie!

– Pan Bruce – stwierdził mężczyzna w ciemnym płaszczu.

– Tak, to ja. Ian Bruce – potwierdził głos.

Mężczyźni sprawnie poradzi sobie z przestarzałym mechanizmem zamka. Przed otwarciem Murzyn podniósł broń i wycelował ją w rdzewiejące drzwi.

– Na wszelki wypadek – powiedział z lekkim uśmiechem na ustach.

Drugi odwzajemnił uśmiech i nacisnął na klamkę, a drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem.

– Pan to ma szczęście – powiedział do wychodzącego Bruce'a.

Murzyn opuścił broń.

– Jakaś małolata mnie tu zamknęła. Ona wiedziała o...

– Wiemy o niej, obserwujemy ją. Może nawet dziś ją odwiedzimy.

– No tak... Zapomniałem...

– Teraz lepiej stąd chodźmy. Strzykawka już czeka. – Mężczyzna w płaszczu ruchem ręki wskazał na wyjście.

– Strzykawka? – zapytał się nieco oszołomiony Ian. – Chcecie mnie teraz zabić? Przecież...

– Wręcz przeciwnie, chcemy panu uratować życie. Gdybyśmy chcieli pana zabić, to by nas tu nie było – odrzekł mężczyzna w płaszczu.

– Nie rozumiem...

– Nie wszystko musi pan rozumieć, panie Bruce.

* * *

Hope znajdował się w niewielkim, jasno oświetlonym pokoju, w którym roiło się od różnych urządzeń, pulpitów oraz ekranów. Stał przed szybą, która stanowiła jedną ze ścian i wychodziła na wielkie pomieszczenie z inkubatorami pogrążonymi w półmroku.

Założył ręce z tyłu i ponurym wzrokiem wpatrywał się w rzędy inkubatorów na hali, ustawione w takiej odległości od siebie, by można było swobodnie między nimi przechodzić.

– Jak to się stało? – Hope zwrócił się do jasnowłosego mężczyzny, który siedział odwrócony do niego bokiem i wypisywał coś na klawiaturze.

– To wina Systemu... Jeszcze nie umiemy całkowicie przystosować go do ludzkiego umysłu... – odpowiedział blondyn.

– Bez niego wciąż giną... – gdy Hope wypowiedział te słowa do ogromnej hali weszło kilku ludzi w białych, ochronnych kombinezonach, którzy mieli zająć się zwłokami tysiąca noworodków.

Hope przez chwilę obserwował ich, po czym bez słowa obrócił się i wyszedł z niewielkiego pomieszczenia. W momencie, gdy metalowe drzwi zasunęły się za Hope'em te od windy otwarły się i do pomieszczenia weszła Holy.

– Szukałam cię – stwierdziła. – Znowu to samo. Straciliśmy już szóstą kolonię...

– Wiem. Najgorsze, że nie zanoszą się na poprawę. W takich warunkach... – mężczyzna przerwał na moment, a Holy spojrzała na niego wymownym wzrokiem. – Uważam, że nie powinniśmy ryzykować.

– Zrezygnować? To prawie równie duże ryzyko jak działać nadal. Ujawniliśmy się, więc mogą do nas dotrzeć.

– Bez Systemu całe nasze przedsięwzięcie jest nic nie warte. Nie wolno nam ryzykować losem całej ludzkości. Musimy poczekać, aż System da stu procentową szansę na przeżycie. Inaczej nasza akcja nie będzie miała sensu.

Holy nie dopowiedziała.

Hope ruszył w kierunku wciąż otwartej windy, a Holy podążyła za nim. Przez kilka chwil panowała cisza.

– Może to lepiej, gdy poczekamy – odparł niespodziewanie mężczyzna. – Świat dostanie wtedy jeszcze jedną szansę.

– Myślisz, tato, że ją wykorzysta?

Winda zatrzymała się nagle, a mężczyzna zbył to pytanie milczeniem.

4.

– Macie już ostatnią szansę.

– Ostatnią? Ale...

– Nie mamy już czasu. Moje wpływy zbyt zmały.

– A jeśli i tym razem nam się nie uda?

– Trudno. Trzeba będzie rozważyć inne możliwości.

– To są inne możliwości?

– Teraz już tak.

* * *

Ian siedział w jasno oświetlonej kawiarence w Hali Centralnej i kończył właśnie swoją porcję ziemniaków z kurczakiem, gdy do jego stolika przysiadł się wysoki i bardzo szczupły mężczyzna.

– Cześć, Ian – odparł. – Idziesz dzisiaj zerknąć na naszą nową kolonię?

– Może... – odparł Bruce do biologa. – A jak tam wasze postępy?

– Które postępy?

– Te z "oszczędnyimi" roślinami – wyjaśnił Bruce.

– Już prawie kończymy – odpowiedział mężczyzna. – Jeśli te sadzonki będą tak wydajne jak myślimy, to stracie pracę, bo wasz System będzie już niepotrzebny... – dodał żartobliwym tonem.

– Jakoś to przeżyję – powiedział Ian z lekkim uśmiechem na ustach.

– Tego nie byłbym taki pewien – wtrącił biolog.

Nagle zauważyli, iż ktoś przedziera się przez salę i zbliża do nich. Po chwili przy ich stoliku pojawił się młody Japończyk w okularach, który, ciężko dysząc, próbował złapać oddech, widocznie wcześniej musiał biec.

– Ian! Do cholery, dlaczego nam nie powiedziałaś?! – wykrzyknął, gdy tylko mu się udało złapać trochę tchu.

– Ciszej, Nathan, nie musisz tak... – zaczął Bruce, lecz Nathan nie pozwolił mu skończyć.

– Szef cię woła – powiedział już normalnie. – Sam się zastanawiam, czy bardziej jest wściekły, czy zadowolony – dodał do siebie.

– A o co chodzi? – wtrącił biolog,

– O co? – Japończyk spojrział na biologa jakby dopiero teraz go dostrzegł. – Ten cholerny farciarz, albo może powinienem powiedzieć geniusz, miał to wszystko na swoim komputerze. Wszystkie poprawki, nowe założenia, całe jądro Systemu... Czemu to ja na to nie wpadłem, to takie proste...

– Co? – w głosie Iana wyczuć można było przerażenie. – Więc wy... Jak się dowiedzieliście? – zapytał się nieco spokojniej.

– Szukałem u ciebie... a do cholery nie pamiętam już nawet, czego, i trafiłem na tę twoją symulację... Jest genialna! Zaraz pobiegłem do szefa, jak to zobaczył, to kazał zawołać ciebie... Natychmiast kazał nam nad nią pracować... Ale... jak ty na to wpadłeś...

– Sam nie wiem – odparł Bruce. – Mogłem w ogóle tego nie pisać...

– Żartujesz! Przecież to jest System! Tylu ludzi nad nim pracowało, przez tyle lat nam nie wychodziło, a ty sam wpadłeś na to, jak to naprawdę powinno wyglądać...

– Nie rozumiesz, Nathan – przerwał Japończykowi Bruce. – Stworzyłem go, bo nagle zauważyłem, gdzie były błędy i umiałem je naprawić. To tak jakby nagle cię oślniło i umiałbyś rozwiązać trudne zadanie matematyczne... Ja się nawet nie zastanowiłem, co robię, po prostu to robiłem... A potem szkoda mi było to wszystko zniszczyć... Ale... sam nie wiem, czy System to najlepsze rozwiązanie...

– Ian... więc, co ty tu właściwie robisz? – pytanie zadane przez Nathana na moment zawisło w powietrzu.

Przecież wiedziałem, że to zrobię, wiedziałem, że to wszystko zniszczy...

– Nie wiem, Nathan – spokojnie odrzekł Bruce. – Może jednak nie jest jeszcze za późno... Może uda mi się to naprawić... – dodał podekscytowanym tonem. – Ethan pracuje nad tymi roślinami – Ian spojrział na biologa. – Może uda im się...

– Teraz mamy System... Nasza praca zawsze była mniej ważna, zawsze chodziło o System, Ian. Pracowaliśmy nad tym, bo Hope przestał wierzyć, że wam się uda. To jedyny powód.

– Jeszcze nic nie jest pewne, Ethan – odrzekł Bruce. – Tyle razy System zawodził, może teraz też tak być... Postarajcie się wykorzystać ten czas i udoskonalić wasze rośliny.

– Wiesz, Ian – zaczął Ethan ściszonego głosem. – Teraz to już nie ode mnie to wszystko zależy...

– Tym bardziej musicie się śpieszyć – odparł Bruce.

– Ian, musimy iść – wtrącił Japończyk.

– Pamiętaj, Ethan – odparł Ian, wstając. – Muszę to naprawić. A ty...

– A ja ci mówię, że nic już nie można zrobić, Ian. To chyba rzeczywiście koniec...

– Ja bym to nazwał początkiem – powiedział cicho do siebie Bruce, odchodząc.

Epilog

Do ogromnej hali o białych ścianach prowadziły tylko jedne, solidne drzwi, a okno pomieszczenia kontrolnego rzucało smugę w przyciemnionym wnętrzu.

Mężczyzna w białym sterylnym kombinezonie i ochronnym kasku przechadzał się wolno między równymi rzędami inkubatorów z niemowlętami.

Zatrzymał się przed jednym z nich, gdyż przykuło go zachowanie dziecka. Miało ono otwarte oczy.

Rzucił okiem na numer: 0010100.

Mężczyzna, mimo zdziwienia i lekkiego przerażenia, uśmiechnął się do dziewczynki, która miała prawie czarne tęczówki. Dziecko nie zareagowało, nadal spoglądając na jego kombinezon. Człowiek zmarszczył brwi i w zamyśleniu odszedł kilka kroków, lecz zatrzymał się, słysząc ciche płkanie. Mała dziewczynka uspokoiła się, gdy jego cień padł na jej twarz. Mężczyzna stuknął palcem w szybkę inkubatora a dziecko wyciągnęło rączki, jakby chciało złapać jego palec zbyt pogrubiony przez białą rękawicę.

Jak to możliwe... Dlaczego jej nie wykrył?

Odwrócił się błyskawicznie i odszedł szybkim tempem kilka kroków, by ona nie mogła już go zatrzymać swoim płaczem.

Jednak niespodziewanie stanął. Spojrzał na numer inkubatora: 0010139. To niemowlę miało zaciśnięte powieki, lecz mimo to zastukał w szybkę. Dziecko nie zareagowało. Mężczyzna powtórzył czynność, jednak skutek był taki sam. Miał jeszcze raz zastukać, lecz ktoś szturchnął go w ramię.

– Co robisz? – usłyszał przytłumiony głos jednego z mikrobiologów, który przebrany w kombinezon, najprawdopodobniej przyszedł obejrzeć swoją narodzoną przed dwoma miesiącami kolonię.

– Sprawdzam... czy mnie słyszają – odpowiedział niepewnie Ian.

– Nie ma na to szans. Ich umysł jest w Systemie – rzekł nieco rozbawiony mikrobiolog.

– Masz rację... Ja chciałem tylko... upewnić się – wyjaśnił Bruce.

– He, he ... – zaśmiał się nieszczercze tamten – To ty głównie tworzyłeś System i nadal nie dowierzasz, że się udało?

– Oczywiście, że wierzę... – powiedział Ian.

– Oni nas nie widzą, ani nie słyszą. Odbierają silniejsze bodźce – uśmiechnął się biolog. – Umysł można łatwo oszukać – dodał poważniejszym tonem.

– Masz rację, umysł można łatwo oszukać – powtórzył za nim beznamiętnym głosem Bruce.

* * *

Mała dziewczynka o prawie czarnych oczach przestała szlochać. Nie rozumiała, dlaczego nikt nie chce się nią zająć. Białe postaci nie zwracały na nią uwagi, choć płakała, jeśli tylko je zauważyła.

Czuła się opuszczona. Coś ją ciągnęło gdzie indziej, choć z tym walczyła.

Otworzyła zapłakane oczka. Piękna kobieta o miękkich, ciemnych włosach pochyliła się nad nią i, wzięwszy ją na ręce, przytuliła.

Dziewczynka poczuła się dziwnie obco.

– Cichutko... – powiedziała ciepłym głosem kobieta – To tylko sen, malutka... To nie było prawdziwe...

KONIEC (is the beginning...)

październik 2001 –wrzesień 2003